

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/podziemie-antykomunisty/79094,Wyroki-smierci-jako-metoda-walki-z-konspiracja-niepodleglosciowa.html>



Byłe więzienie przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Fot. ze zbiorów Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN

ARTYKUŁ

Wyroki śmierci jako metoda walki z konspiracją niepodległościową

Autor: JOANNA ŻELAZKO 25.02.2021

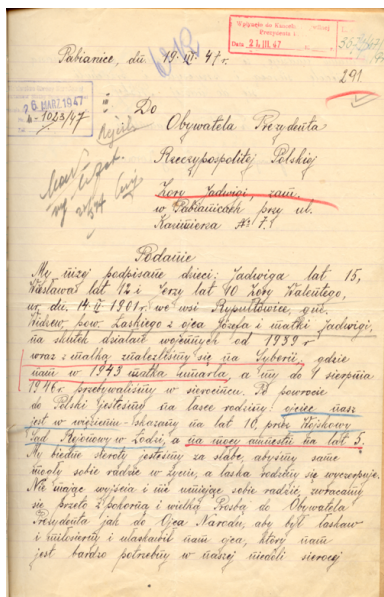
Wyrok śmierci to najwyższa sankcja, jaką dysponuje system prawny. Jej wykorzystywanie budziło i nadal budzi liczne emocje. Z tego względu w wielu krajach nie orzeka się go lub nie wykonuje. W Polsce ostatni wyrok śmierci został wykonany w 1988 r. Później kara ta była jeszcze orzekana, ale nie wykonywana. Całkowicie zniesiona została w Kodeksie Karnym z 1997 r.

Na przestrzeni dziejów szczególnie srogo karano przestępstwa przeciwko państwu, za które przewidziane były najwyższe wyroki. Stosowne przepisy zawierały kodeksy karne różnych krajów, niezależnie od obowiązującej w nich formy ustrojowej. W Polsce w okresie II Rzeczypospolitej wyrokiem śmierci zagrożone były przestępstwa zbrodni stanu, interesów zewnętrznych państwa, stosunków międzynarodowych oraz zabójstwa. Natomiast wyroki w sprawach zagrożonych w czasie pokoju wysokimi karami, wydawane przez Polskie Państwo Podziemne w warunkach wojennych, często sprowadzały się do wyboru: uniewinnienie od zarzutów, odłożenie sprawy na po wojnie albo wykonanie wyroku śmierci.

Od 1944 r. pozbawienie życia w majestacie prawa stało się w Polsce elementem walki politycznej. Stosowanie kary śmierci uzasadniano koniecznością walki z wrogiem klasowym i łamania jego oporu „wszystkimi dostępnymi środkami”. Władze twierdziły, że jej przeciwnicy działają w sposób bezkompromisowy i dlatego w obronie kraju oraz własności socjalistycznej należy wykorzystywać również najwyższy wymiar kary. Starły się również zbudować w społeczeństwie przekonanie, że są to pospolici przestępcy, którym nie należy udzielać jakiegokolwiek wsparcia. Dyskredytowanie przeciwników politycznych miało ułatwić uzyskanie akceptacji społecznej dla ferowanych w stosunku do nich wysokich wyroków. Wielu członków konspiracyjnych organizacji niepodległościowych skazywano za przestępstwa pospolite. Działo się tak m.in. i dlatego, że łatwiej było znaleźć potwierdzające to dowody, bez względu na to, czy oskarżony rzeczywiście był winny. Istotne znaczenie miał również fakt, iż dzięki temu zmniejszono ilość skazanych za przestępstwa polityczne. Tym samym władze ukrywały prawdziwą skalę zjawiska. Wprawdzie funkcjonariusze UB i MO chętnie chwaliли się sprawnością i efektywnością działania, lecz informacje o dużej liczbie przeciwników politycznych mogłyby nasunąć wnioski, że komuniści nie mają wystarczającego poparcia społecznego do przejęcia władzy.

Wyroki śmierci w liczbach

W skali całego kraju liczbę wyroków śmierci wydanych do w latach 1945-1956 przez wszystkie sądy oblicza się na ok. 8 tys., z czego połowa została wykonana, w tym wydanych przez Wojskowe Sądy Rejonowe 3468, wykonano ich 1363 (39,30 %). WSR w Łodzi przez cały okres swojej działalności, tj. w latach 1946-1955, orzekł 201 wyroków śmierci, z których 186 można uznać „polityczne”. Największa liczba kar śmierci (49) orzeczona została w 1946 r., ponieważ bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych skala zbrojnego oporu przeciwko komunistycznej władzy była największa. Od 1951 r. nastąpił wyraźny spadek liczby tego rodzaju wyroków (10 i mniej). Do 1950 r. aparat bezpieczeństwa prowadził najintensywniejsze działania przeciwko podziemiu niepodległościowemu, zaś aresztowani i stawiani przed sądem konspiratorzy byli surowo karani. Chodziło o to, aby zlikwidować najaktywniejszych z nich i jednocześnie zastraszyć tych, którzy – choć nie podejmowali walki – okazywali niechęć nowym władzom.



Prośba o łaskę

Najwięcej kar śmierci orzeczono i wykonano w Warszawie m.in. dlatego, że w stolicy odbywało się wiele rozpraw o charakterze ogólnopolskim. Powodem przekazywania śledztw do warszawskiego WSR była często chęć nadania im większej politycznej rangi i rozgłosu – tak, aby proces można było wykorzystać propagandowo. Jednak porównując w całym kraju stosunek kar orzeczonych do wykonanych, największym odsetkiem wykonanych wyroków śmierci (58,33%) mógł „wykazać się” WSR w Katowicach. W tym dużym skupisku ludności robotniczego Śląska z całą surowością karano wszystkich, którzy nie chcieli przyłączyć się do budowy „socjalistycznego dobrobytu”.

Z wydanych przez łódzki WSR wyroków śmierci wykonanych zostało 65, pięciu skazanych zmarło w więzieniach, w tym: trzech przed wykonaniem wyroku, zaś dwóch miało niższe kary, ale to właśnie uwięzienie było u nich przyczyną utraty zdrowia, a w następstwie – śmierci.

Skazywali na śmierć

Do niewątpliwych „rekordzistów” w łódzkim sądzie, którzy specjalizowali się w rozprawach przeciwko żołnierzom podziemia niepodległościowego, należeli kpt. Wacław Bohatyrewicz – 30, ppłk Bronisław Ochnio – 28, kpt. Piotr Adamowski – 19, kpt. Leo Hochberg – 17, mjr Marian Plackowski – 13 i kpt. Michał Słapeter – 12 orzeczonych wyroków śmierci w okresie służby w WSR w Łodzi.

We wniosku o mianowanie kpt. Bohatyrewicza na stopień majora zawarta jest opinia na temat tego, jak

wypełnia on swoje obowiązki:

„Bardzo dobry sędzia. (...) Rozpatruje sprawy bardziej skomplikowane pod względem prawnym (...). Wyroki wydaje trafne pod względem wymiaru kary, oceny stanu faktycznego, jak i pod względem politycznym. Ma właściwe podejście w zwalczaniu wroga klasowego”.

Podobne oceny pracy można odnaleźć w opiniach o ppłk. Ochnio:

„Rozprawy prowadzi wnikliwie, starannie i zwięźle, a orzeczenia przezeń wydane były w zasadzie bezbłędne”.

Końcowe zastrzeżenie związane jest z tym, że „zdarzały się [mu] wypadki politycznie nietrafnej oceny poszczególnych spraw”. Jednak, jak tłumaczył to wystawiający opinię płk Oskar Karliner, szef Zarządu Sądownictwa Wojskowego (ZSW), przyczyną było „prześiąknięcie drobnomieszczańskimi nawykami”.



**Korytarz więzienia karno-
śledczego Warszawa-Mokotów.**

Fot. z zasobu IPN

W grupie sędziów, którzy w czasie służby w WSR w Łodzi wydali od czterech do dziesięciu wyroków śmierci, znaleźli się: mjr Henryk Andrysiak (9), plut. Teofil Leśko (9), por. Zygmunt Depczyński (7), ppor. Czesław

Jaworski (7), por. Kazimierz Baj (6), kpt. Mikołaj Nippe (6), por. Jan Lach (6), mjr Mieczysław Widaj (6), por. Zdzisław Tomczak (6), chor. Bogdan Dziecioł (4) i mjr Zenon Szczęsny (4). Nie wynikało to, oczywiście, z ich łagodności w ferowaniu wyroków, lecz z liczby rozpoznanych spraw oraz ich znaczenia propagandowego.

Ponadto kilku sędziów orzekało „tylko” w pojedynczych przypadkach, w rozprawach przed łódzkim WSR: ppor. Dionizy Gąsiorowski (3), ppłk Julian Polan-Haraschin (3), ppor. Feliks Płoszajski (2), por. Daniel Motłoch (1) i por. Stefan Zasadko (od 1951 r. Zdanowicz) (1). W grupie tej znaleźli się najczęściej ci, którzy krótko służyli w łódzkim WSR np. por. Motłoch, lub też nie byli sędziami tutejszego sądu i wzięli udział w pojedynczej rozprawie, jak np. Polan-Haraschin – sędzia krakowskiego WSR (znany z wydawania surowych wyroków, który skazał na śmierć 60 osób).

Możliwość zmiany wyroku

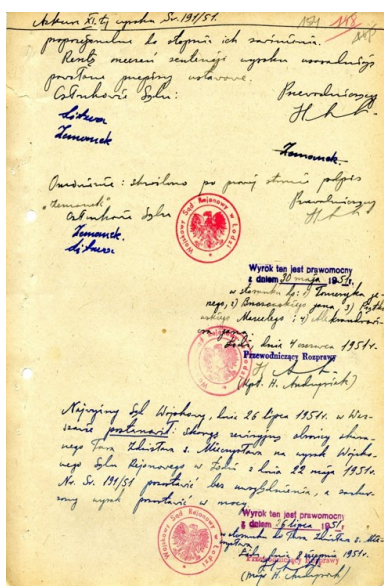
Karę, orzeczoną przez WSR, zmieniał bądź zatwierdzał w drugiej instancji Najwyższy Sąd Wojskowy (NSW). Wpływ na jego decyzję miała opinia składu sędziowskiego, spisywana przez sędziów WSR tuż po wydaniu wyroku śmierci. Sugerowali oni, czy skazaniec zasługuje na złagodzenie kary, którą mu wymierzili, czy nie. Najczęściej decyzja o zamianie kary śmierci na wieloletnie więzienie uzależniona była od pozycji zajmowanej przez skazanego w hierarchii organizacji, możliwości wykorzystania go jako świadka w innej sprawie lub jego gotowości do zmiany poglądów politycznych. Uwzględnianie było również aktualne zapotrzebowanie propagandowe.

Od 1944 r. pozbawienie życia w majestacie prawa stało się w Polsce elementem walki politycznej. Stosowanie kary śmierci uzasadniano koniecznością walki z wrogiem klasowym i łamania jego oporu „wszystkimi dostępnymi środkami”.

Ppłk Bronisław Ochnio, por. Wacław Bohatyrewicz i kpt. Anna Landau w kilka godzin po tym, jak skazali na śmierć Kazimierza Grendę „Grudę” – prezesa Okręgu Łódzkiego WiN oraz Zbigniewa Zakrzewskiego „Bryłę” – szefa wywiadu tego okręgu, uznali, iż skazańcy godni są ułaskawienia przez NSW. Motywem do darowania życia Grendzie było to, że „jako naukowiec, wobec braku tego rodzaju ludzi, może się jeszcze przydać

Państwu". Natomiast w przypadku Zakrzewskiego „nie bez znaczenia jest fakt, że w czasie okupacji niemieckiej ukrył przed władzami niemieckimi i wychowuje do obecnej chwili dziecko (sierotę) narodowości żydowskiej w wieku lat 8”. Sędziowie NSW wykazali się pragmatyzmem, nie współczuciem: Grendzie kara śmierci została zamieniona na 15 lat pozbawienia wolności. Wobec Zakrzewskiego wyrok został utrzymany w mocy. Rozstrzelano go 26 marca 1947 r.

W przypadku, gdy któryś z członków składu sędziowskiego nie zgadzał się z orzeczonym wyrokiem śmierci, mógł złożyć tzw. *votum separatum* (zdanie odrębne), które polegało na dołączeniu pisemnego sprzeciwu wobec wysokości zasądzonej kary. Przeczy to powszechnemu do niedawna przekonaniu, iż sędzia nie mógł wyrazić własnego zdania w tej kwestii. Wymagało to jednak od niego wytrwania przy własnej opinii, odwagi w jej głoszeniu i zgody na poniesienie ewentualnych konsekwencji.



Wyrok NSW

Sędziowie NSW mogli zmienić wyrok, orzekając niższą karę niż sąd pierwszej instancji, zastosować przepisy amnestyjne, bądź zwrócić sprawę do ponownego rozpatrzenia przez WSR. Jeśli jednak utrzymali wyrok w mocy, skazany (lub jego adwokat) mógł napisać do Prezydenta KRN Bolesława Bieruta (od 5 lutego 1947 r. Prezydenta RP) o zastosowanie prawa łaski. Polegało ono na zamianie orzeczonej kary śmierci na pozbawienie wolności – najczęściej dożywotnie lub na karę 15 lat więzienia. Od 22 lipca 1952 r., w związku z wprowadzeniem w życie nowej konstytucji likwidującej urząd prezydenta, prawem łaski dysponowała Rada Państwa.

Do kancelarii prezydenta napływało dużo wzruszających i pełnych nadziei listów od rodzin osób skazanych: żon, dzieci i rodziców. Przybrana córka jednego z nich pisała:

„Słyszałam, że Obywatel Prezydent kocha dzieci i wierzę, że wysłucha mojej prośby [tak w oryginale]”.

Inna, prosząc o złagodzenie kary swojemu ojcu, przekonywała:

„Pani nauczycielka mówiła nam w szkole, że Pan Prezydent jest Ojcem nas wszystkich, w całej Polsce i każdemu przebaczy, byle wykazał skruchę i przyrzekł, że nic złego już czynił nie będzie”.

W listach często pojawiały się zwroty – pisane zapewne z zamysłem wywołania korzystnego wrażenia – określające Bieruta jako „wielkiego, dobrego ojca”, który potrafi nie tylko karać, ale i okazać miłosierdzie. Pozytywne odpowiedzi na niektóre z nich miały pomagać w budowaniu wizerunku sprawiedliwego człowieka na kierowniczym stanowisku. W rzeczywistości motywacja łagodzenia kary była różna, np. w 1946 r. wśród pierwszych osób skazanych na karę śmierci w Łodzi (nie z powodów politycznych) była kobieta. Bierut uznał, że – bez względu na jej winę – śmierć skazanej wywołałaby zły odbiór społeczny i skorzystał z prawa łaski. Niekiedy powodem odrzucenia prośby o łaskę było działanie „prewencyjne”. Kiedy na jakimś terenie aktywność oddziałów konspiracyjnych była duża, w ramach przestrogi dla pozostałych na wolności „wrogów ludu”, prezydent nie korzystał z prawa łaski i wyrok był wykonywany.

Czekając na śmierć

Skazany oczekiwał na decyzję o zmianie wyroku od kilku do kilkunastu tygodni, a w pojedynczych przypadkach nawet dłużej. Przetrzymany był w tym czasie w tzw. celi śmierci. W zależności od więzienia była ona pojedyncza lub kilkuosobowa. Informację o złagodzeniu, bądź utrzymaniu wyroku w mocy, przekazywał skazanemu adwokat. Jednak więzień, wywoływany przez strażnika z celi, nie wiedział czy idzie na rozmowę z obrońcą, czy na egzekucję, co przysparzało mu dodatkowych tortur psychicznych. Tak wspominał swoje przeżycia Roman Garbacz:

„Wiedziałem, że na wykonanie kary więźniowie zabierani są po południu, dlatego, kiedy o takiej porze zostałem wywołany przez strażnika, myślałem, że idę na rozstrzelanie – pożegnałem się z kolegami z celi. Chodziło jednak o wizytę adwokata, który przyniósł mi informację o pozytywnym rozpatrzeniu prośby o ułaskawienie (...). Wyrok został zamieniony na dożywotnie więzienie. (...) Nie mogłem doczekać się powrotu

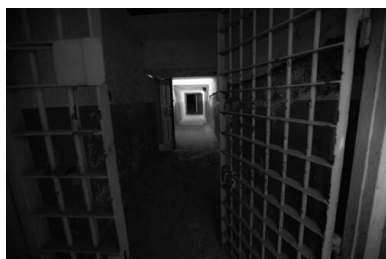
do celi, żeby powiedzieć o tym współwięźniom”.

W przypadku złagodzenia wyroku osoba skazana przenoszona była do innej celi, a najczęściej również do innego więzienia.

Skazaniec, jeśli nie został ułaskawiony, w każdej chwili oczekiwał na egzekucję. Nie wiedział, kiedy to może nastąpić, ponieważ nie podawano mu jej daty. Leon Macherowski, żołnierz AK z Piotrkowa Trybunalskiego, tak opisał swoje przeżycia psychiczne, związane z oczekiwaniem na wykonanie kary:

„[Śmierć] zbliżała się nieuchronnie, nie można było się bronić. Instynkt samozachowawczy, [który] w każdych innych okolicznościach szukałby jakiejś drogi wyjścia, tu przestawał działać, nie było najmniejszej szansy uniknięcia śmierci. Męka skazańca nie kończyła się na zamknięciu celi – tu dopiero zaczynała się tortura, jaką jest nieustanna myśl o śmierci. [...] Zbliżała się nieubłaganie i stopniowo zaczęła obezwładniać cały organizm. Najpierw opanowała umysł – bez przerwy myślałem o niej i wbrew rozsądkowi nie mogłem się pozbyć tego natręctwa. Potem zjawily się dolegliwości fizyczne: czułem niezmierną słabość całego ciała, wypadaly mi włosy, miałem częste zawroty głowy. [...] Cierpiałem na chroniczną bezsenność”.

Osadzeni w celi śmierci, czekający na kres życia skazani, mogli już tylko rozmyślać nad swoją dotychczasową postawą, losem pozostawianej na wolności rodziny i nieznaną procedurą wykonania wyroku. Doznania psychiczne potęgowały szczątkowe informacje o egzekucjach na innych więźniach. Niektórzy widzieli współwięźniów wyprowadzanych z celi na wykonanie kary. Ich postawa w tych dramatycznych okolicznościach często wpływała na pozostałych więźniów. Przykłady odwagi „podnosiły na duchu”, natomiast okazywanie strachu – paraliżowało i przygnębiało.



**Byłe więzienie przy ul.
Rakowieckiej w Warszawie. Fot.
ze zbiorów Biura Poszukiwań i**

Identyfikacji IPN

Ze wspomnień osób przebywających w celach śmierci – z czasem ułaskawionych – wynika, iż częstą pomocą w przetrwaniu okresu oczekiwania na zmianę wyroku lub egzekucję, była intensyfikacja praktyk religijnych oraz przekonanie o słuszności własnej postawy. Ppor. Ruta Czaplińska „Ewa”, skazana 3 listopada 1947 r. w procesie Komendy Głównej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW), we wspomnieniach odnotowała informacje, dotyczące ostatnich dni życia jednego ze współoskarżonych – por. Lechosława Roszkowskiego „Tomasza”. Po wiadomości, że Rada Państwa nie skorzystała wobec niego z prawa łaski, pozostały mu trzy doby życia.

„Leszek wszystkie te dni spędził na cichej, skupionej modlitwie (...) Modlił się także w nocy, od 18 do 6 rano”.

Jak ważna była dla więźniów postługa religijna, świadczy również inny fragment przytoczony w tych samych wspomnieniach. Kiedy przebieg procesu członków KG NZW wskazywał, że zapadną wyroki śmierci, postanowili oni odbyć spowiedź i przyjąć komunię. Ppłk Tadeusz Zieliński wyspowiadał się u księdza, który był z nim w celi. Pozostali: por. Lechosław Roszkowski, kpt. Tadeusz Zawadziński, kpt. Jan Morawiec i por. Jan Golka odbyli ją w ten sposób, że o umówionej porze ksiądz-więzień patrzył przez okno na dziedziniec i udzielał im rozgrzeszenia, a oni w tym czasie w swoich celach przy oknach wyznawali winy. Komunikanty przyniosła na rozprawę adwokat Antonina Grabowska i podała je oskarżonym podczas przerwy. Takie działania podnosiły skazanych na duchu, dawały idącym na śmierć wewnętrzną siłę i pozwalały zachować godną postawę.

Do 1949 r. opieka duszpasterska w więzieniach nie była wprawdzie zabroniona, ale utrudniona. Więźniom – przed wykonaniem wyroku – teoretycznie przysługiwała możliwość spotkania z księdzem swego wyznania, ale art. 315 Kodeksu Postępowania Karnego precyzował, iż ma to się odbywać „w miarę możliwości”. Ponieważ w więzieniach nie było kapelanów i każdorazowo trzeba był przywozić księdza z pobliskiej parafii, władze więzienne nie zawsze podejmowały taki wysiłek. Dzięki tym duchownym, którzy godzili się na tą trudną postługę, znamy ostatnie chwile niektórych skazanych. Ks. Hieronim Lewandowski wspominał, że przygotował na śmierć blisko 60 więźniów:

„Zwykle naczelnik zawiadamiał mnie o bliskim wykonaniu wyroku. Niekiedy sam, dowiedziawszy się o tym, prosiłem o dopuszczenie do skazańca. Gdy przychodziłem do więzienia, prowadzono mnie do celi, gdzie potem przyprowadzano skazanego. (...) Zwykle po spowiedzi, Komunii św., rozmowie i modlitwie

przychodziło [na niego] ukojenie”.

Ks. Lewandowski pisał, że był pod wrażeniem bohaterskiej postawy osób skazanych za działalność polityczną, a zarazem odczuwał „gniew połączony z bezradnością wobec oczywistej często niesprawiedliwości”.

W 1950 r. Departament Więziennictwa, powołując się na porozumienie z 14 kwietnia tr. zawarte między rządem a Episkopatem, polecił zaprzestać opieki religijnej nad osobami osadzonymi. W obliczu nasilających się konfliktów między państwem a Kościołem katolickim i coraz częstszymi atakami komunistów na duchowieństwo oraz osoby praktykujące, decyzja ta stała się formą szykany nie tylko dla skazańców, ale również duchownych. Dopiero od września 1956 r. księżom pozwolono ponownie prowadzić pracę duszpasterską w więzieniach.

Skazaniec miał zagwarantowane prawo napisania listu pożegnalnego do rodziny, jednak w rzeczywistości niezbyt często otrzymywał on taką możliwość. Obowiązek wysłania listu spoczywał na prokuratorze wojskowym, lecz nikt nie sprawdzał jego dopełnienia, więc zależało to jedynie od dobrej woli urzędnika. W aktach spraw WSR można odnaleźć te, które nigdy nie zostały wysłane – pełne spokoju, co do słuszności własnego postępowania, słów miłości skierowanych do najbliższych i próśb o zachowanie w pamięci prawdy o rzeczywistej „winie” skazanego. Niestety, nawet takiej formy pożegnania się z rodziną odmówiono tym ludziom...

Egzekucje

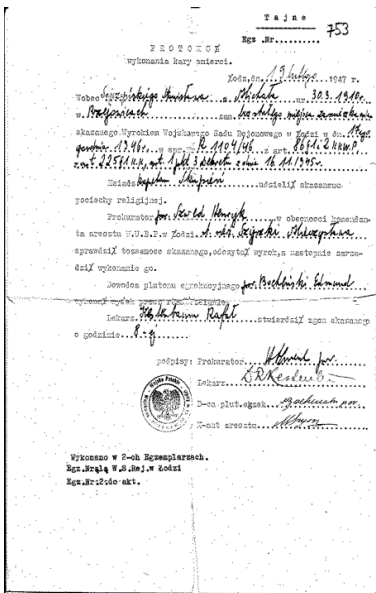
Przepisy prawne określały dwie formy wykonania wyroku śmierci: w stosunku do cywilów skazanych przez sądy powszechne – przez powieszenie, wobec osób skazanych przez sądy wojskowe – przez rozstrzelanie. Przy egzekucji powinni być obecni: prokurator, naczelnik więzienia, lekarz oraz duchowny (wyznania, którego był więzień). Przybycie obrońcy nie było konieczne. W gestii prokuratora leżało potwierdzenie tożsamości skazanego oraz prawomocności wyroku. Kapłan mógł towarzyszyć skazanemu podczas wykonywania wyroku. Obecność lekarza była konieczna do oficjalnego stwierdzenia zgonu. Kodeks przewidywał, że w stosunku do obłożnie lub umysłowo chorych wykonanie kary śmierci należało odroczyć do czasu ich wyzdrowienia. W przypadku kobiet w ciąży odsunięcie terminu oznaczone było na trzy miesiące po rozwiązaniu, o ile dziecko urodziło się żywe.

Wspomniane przepisy nie zawsze przystawały do rzeczywistości. Niestety, protokoły wykonania kary śmierci, znajdujące się w aktach WSR, nie dają żadnej pewności, co do faktycznego sposobu przeprowadzenia egzekucji. Informacje o wykonywaniu wyroków strzałem w tył głowy na schodach lub w piwnicach pochodzą nie tylko od więźniów. Potwierdza je również pismo szefa Departamentu Służby Sprawiedliwości MON i

Naczelnego Prokuratora Wojskowego płk. Henryka Holdera z 16 września 1946 r., w którym stwierdził:

„Wykonywanie wyroków śmierci odbywa się niejednokrotnie w warunkach wysoce nieodpowiednich i uwłaczających powadze aktu (...). W szczególności wykonywanie wyroków odbywa się częstokroć w więzieniach nieomal na oczach innych więźniów (...) poprzez oddanie znieczulacza strzału, często w kark delikwenta, ciało zagrzebywane jest w pobliżu”.

W związku z tym zalecił on wydanie przez MBP instrukcji, określającej precyzyjnie sposób przeprowadzania wyroków śmierci.



Protokół wykonania kary śmierci

W listopadzie 1946 r. minister bezpieczeństwa państwowego gen. Stanisław Radkiewicz przygotował dla szefów WUBP okólnik w sprawie wykonywania wyroków śmierci. Uwzględnił on zalecenia płk. Holdera, dodatkowo precyzując, iż egzekucje powinny odbywać się na terenie więzień między północą a godzina piątą rano. Dokładny czas miał ustalać prokurator. Dla dodatkowego ukrycia wszelkich informacji o przebiegu wykonania kary, zabroniona była podczas jej wykonywania obecność osób postronnych. Okólnik dokładnie precyzował, jak powinno wyglądać miejsce i przebieg egzekucji:

„Na podwórzu gospodarczym więzienia, najmniej uczęszczanym przez więźniów, dostatecznie dużym, należy wkopać drewniany słupek, wysokości 1,5 m nad powierzchnię ziemi, w odległości 1,2 od ślepej ściany. Ścianę należy zabezpieczyć warstwą piasku. Z chwilą przybycia do więzienia Prokuratora i osób biorących udział w egzekucji – należy sprowadzić z celi więziennej skazańca na miejsce stracenia i związane w tyle ręce sznurem przymocować do słupka. (...) W tym czasie pluton egzekucyjny (...) w składzie, co najmniej czterech ludzi i dowódcy, ustawia się w szereg w odległości najmniej 10 metrów frontem do skazańca. (...) Prokurator Wojskowy odczytuje wyrok. (...) Jeden z funkcjonariuszy więziennych zawiązuje skazańcowi oczy białą przepaską (na prośbę skazańca opaski można nie zakładać). (...) Pluton egzekucyjny oddaje salwę, celując w serce skazańca. Lekarz (...) stwierdza zgon”.

Po egzekucji zadaniem funkcjonariuszy więziennych miało być umieszczenie ciała w trumnie. Pochówek powinien odbyć się następnego dnia na miejscowym cmentarzu. Ta szczegółowa instrukcja przewidywała również taką ewentualność, że po oddanej salwie lekarz stwierdzi, iż skazany jeszcze żyje. W tej sytuacji dowódca plutonu powinien strzelić z broni krótkiej w skroń więźnia. W rzeczywistości – mimo instrukcji z MBP – wyroki wykonywane były pojedynczym strzałem w tył głowy w piwnicach lub nawet w lesie. Często również egzekucje odbywały się na placach w obrębie murów więziennych, albo zabudowaniach gospodarczych, np. w szopach.

Mieczysław Grygorcewicz, przetrzymywany w 1946 r. w więzieniu przy ul. 11 Listopada w Warszawie, tak wspominał wykonanie wyroku na więźniu o nazwisku Zakrzewski:

„Którejś nocy usłyszeliśmy otwieranie krat na pierwszym piętrze, kroki skierowane do celi (...), był to oczywisty znak, że więzień zostanie rozstrzelany. Kazano mu się ubierać, wyprowadzono z celi i w towarzystwie prokuratora, naczelnika więzienia i kata (...) poprowadzono więźnia przez podwórko do furtki w murze. Krzyknął: «Niech żyje Polska!» Byliśmy wszyscy w oknie (...). Nagle usłyszeliśmy strzał z pistoletu (...)”.

Podobne informacje pojawiają się w relacjach innych więźniów. Maria Sobocińska podczas odbywania wyroku w więzieniu w Inowrocławiu widziała wyprowadzanego na rozstrzelanie Władysława Raczyńskiego „Groma”. Opisała to w swoich wspomnieniach:

„Egzekucja odbyła się o świcie... Wspięliśmy się do okienka – blendy, które wychodziły na drogę – drogę konduktu śmierci. W ostatnim słowie prosił o księdza i ten ksiądz kroczył przed nim z krzyżem w dłoniach (...) Zniknęli nam z oczu, a strażnicy bębniąc w drzwi i krzycząc złaźcie z okien! » zmusili nas do zejścia. (...) Salwa z automatu wstrząsnęła murami więzienia... po chwili druga... to koniec...”.

Ci, którzy mieli szansę na uratowanie życia, starali się towarzyszyć skazanym w ich ostatniej drodze, choćby z daleka, aby wspierać ich moralnie i móc później przekazać te informacje krewnym i przyjaciołom. Świadczyć o tym, co działo się w więzieniach i jak władza „ludowa” traktowała ludzi o innych poglądach politycznych.

Więźniów szczególnie pilnowanych często rozstrzeliwano poza więzieniem. Tak było w przypadku Czesława Stachury – funkcjonariusza WUBP w Łodzi, skazanego 16 grudnia 1946 r. na karę śmierci za współpracę z Łódzkim Okręgiem WiN. Okres śledztwa spędził w piwnicach aresztu przy ul. Anstadta 7 w Łodzi. W tym samym budynku – za specjalną zgodą szefa łódzkiego WSR mjr M. Nippe – odbył się jego proces, a później wykonanie wyroku. Świadkiem ostatnich chwil życia Stachury stał się jego towarzysz z celi śmierci, były funkcjonariusz PUBP w Sieradzu – Jan Łopianiak:

„we wczesnych godzinach rannych odbyła się egzekucja Czeska Stachury. Od kilku już dni Czesiek, czując zbliżającą się śmierć, domagał się głośno księdza. Chciał uporządkować swoje ziemskie sprawy. (...) Wreszcie jakiś oficer śledczy, przywołany przez dozorcę, zapewnił, że ksiądz zaraz przyjdzie. Mnie i [Alfonsa Olejnika] „Babinicza” przeniesiono do innych cel. Czesiek w chwili naszego rozstania był spokojny. Pogodził się ze swoim losem”.

Podczas nieobecności współwięźniów, Stachura został wyprowadzony z celi i rozstrzelany w jednym z sąsiednich pomieszczeń.

Egzekucje – zgodnie z poleceniem ministra Radkiewicza z 1 września 1945 r. – przeprowadzali funkcjonariusze wyznaczeni przez kierowników WUBP. Trzyosobowe drużyny posiadały wydzieloną w tym celu specjalną odzież ochronną i przyznane dodatkowe uposażenie. Kusiły nie tylko profity i przywileje, ale również... chęć uczestniczenia w egzekucji. O tym, że często zadanie to okazywało się trudniejsze, niż sądzili, przekonywało się wielu spośród wykonujących wyrok. Emerytowany naczelnik jednego z więzień – nie podał swoich personaliów, ani miejsca służby – tak zrelacjonował przebieg wykonania egzekucji, której był świadkiem:

„Gdy rozstrzeliwano pewnego marynarza (...), żaden z plutonu podchmielonych żołnierzy skutecznie nie trafił. Podszedł ich dowódca, wymierzył z broni krótkiej i skamieniał. Nie był w stanie nic zrobić. Wtedy nasz

funkcjonariusz dobił rannego skazańca”.

Dodawanie sobie odwagi – przez członków plutonu egzekucyjnego – piciem alkoholu nie było odosobnionym przypadkiem. Funkcjonariusze nie zawsze zgłaszali się do wykonania egzekucji dobrowolnie. Jeden z nich twierdził, iż przełożeni poinformowali go o czekającym go za kilka dni zadaniu. Następnie dowiedział się, że jeśli odmówi, albo zachoruje, będzie pomijany przy awansach i nagrodach. Wspomniany wyżej naczelnik więzienia tak ocenił osoby bagatelizujące skutki udziału w wykonywaniu wyroków śmierci:

„Jeśli ktoś mówi, że uczestnictwo w egzekucji to małe «piwo», kłamie. Albo jest psychopatą”.

W celu psychicznego złamania więźniów wykonywano również pozorowane egzekucje. Takie „wykonanie” wyroku przeżył Hieronim Wysocki. Miał 21 lat i nie znał obowiązujących w tym zakresie procedur. Kiedy przyszedł do celi ludzie, z których jeden przedstawił się jako prokurator i poinformował go, że zostanie na nim wykonany wyrok śmierci, nie podejrzewał mistyfikacji. Zawiązano mu oczy i został zniesiony po schodach do piwnicy. Po chwili funkcjonariusze ci powrócili z nim do celi i powiedzieli, że tego dnia egzekucja się nie odbędzie. Podobne pozorowanie wyroków stosowane było także wobec osób przesłuchiwanym w śledztwie, jeszcze przed rozprawą. Najczęściej w takich przypadkach chodziło o nękanie psychiczne więźnia.

Przepisy

Z wykonania egzekucji sporządzany był protokół (w trzech egzemplarzach), podpisywany przez wszystkich obecnych. Informację o śmierci skazańca władze więzienia miały obowiązek przekazać do miejscowego Urzędu Stanu Cywilnego, do urzędu gminy właściwego dla stałego miejsca zamieszkania straconego, do Wydziału Więziennictwa i Obozów właściwego WUBP oraz do Departamentu Więziennictwa i Obozów MBP. Natomiast prokurator sporządzał taką informację dla naczelnika więzienia, w którym przeprowadzona została egzekucja, oraz pismo, zezwalające na pogrzebanie zwłok. Druki, zawiadamiające USC o śmierci więźnia, wypełniał lub przynajmniej podpisywał lekarz, a ich kopię często przesyłano rodzinie. W większości województw jako przyczynę zgonu podawano śmierć naturalną lub nie podawano powodu w ogóle. Jedynie w Łodzi i Katowicach lekarze stosowali się do przepisów Departamentu Więziennictwa i wpisywali do akt, że więzień zmarł na udar serca lub inne ciężkie schorzenie, np. ostre zapalenie płuc. W niektórych więzieniach (przykładem jest poznańskie) próbowano podawać przyczyny zgonu, zbliżone do prawdy: „rana postrzałowa czaszki i porażenie ośrodków mózgowych”. Te praktyki wyszły na jaw, gdy jesienią 1953 r. łódzcy lekarze z więzienia przy ul. Kraszewskiego odmówili wpisywania fałszywych informacji do pism skierowanych do USC. W związku z tym Wydział Więziennictwa WUBP w Łodzi zwrócił się do tutejszej WPR z prośbą o wykładnię. Prokuratura uznała, iż jako przyczynę zgonu należy podawać wykonanie wyroku sądowego. Zaalarmowany

sytuacją dyr. H. Duljasz zalecił ogólnopolską kontrolę w tym zakresie i ponowił nakaz wpisywania, jako przyczyny zgonu, ciężkich chorób.

Po śmierci ciało więźnia traktowane było jako własność państwa. Z reguły nie oddawano go krewnym. Każdorazowo było to uzależnione od decyzji szefa WUBP i prokuratora. Jeśli zwłoki nie zostały oddane rodzinie, zwykle pracownicy więzienia w dyskretny sposób zawozili je na miejscowy cmentarz, gdzie były grzebane bez oznaczeń pozwalających na ustalenie personaliów zmarłego, a często również bez trumien. Pochówki odbywały się nocą, w specjalnie wyznaczonych do tego częściach cmentarzy. Władze więzienia zwykle nie informowały, kto został pogrzebany w danym miejscu, dlatego wiele osób do dziś poszukuje grobów swych najbliższych.

Na terenie Łodzi jednym z udokumentowanych miejsc takich pochówków jest cmentarz rzymsko-katolicki na Dołach. Grzebano tam skazańców straconych w łódzkich więzieniach, na koszt zakładu karnego, w którym przeprowadzona została egzekucja. Wprawdzie w księgach cmentarnych niewiele jest zapisów, poświadczających chowanie tam konkretnie wymienionych z nazwiska więźniów, niemniej jednak można takie odnaleźć. W sprawozdaniu sporządzonym w 1956 r. dla H. Duljasza – dyrektora Centralnego Zarządu Więziennictwa, znajduje się informacja:

„Zwłoki straconych (...) więźniów [Stefana Wydrzyńskiego, Józefa Ślęzaka, Ludwika Danielaka i Jerzego Pietrasa zostały pochowane na koszt C[entralnego] W[ieżienia] [w Łodzi przy ul. Kraszewskiego] na cmentarzu «Doły» oraz zarejestrowane są w księdze cmentarnej. Zgony więźniów ww. są zgłoszone w Urzędzie Stanu Cywilnego. Rodzin więźniów nie powiadomiono o zgonie”.

Straconych grzebano jednak również w mniej „cywilizowanych” miejscach: pod murem więziennym, w lasach lub niedostępnych okolicach. Osoby, które zabijano na mocy wyroków sądowych, prowadziły aktywną walkę z komunistami, dlatego aby ich groby nie stały się miejscami kultu i manifestowania wrogości wobec władz, ukrywano ich lokalizację. Tak stało się z rozstrzelanym 19 lutego 1947 r. legendarnym dowódcą I Komendy KWP kpt. Stanisławem Sojczyńskim „Warszycem” i pięcioma innymi jego żołnierzami: kpt. Henrykiem Glapińskim „Klingą”, por. Ksawerym Błasiakiem „Albertem”, sierż. Marianem Knopem „Własowem”, Albinem Ciesielskim „Montwiłłem” i pchor. Stanisławem Żelanowskim „Nałęczem”. Najczęściej wskazywanym miejscem ich pogrzebania jest teren strzelnicy na Brusie w Łodzi, ale mimo prowadzonych latami poszukiwań wciąż nie zostało to potwierdzone. Niekiedy, aby całkowicie zataić informacje o więźniu rozstrzelanym „w majestacie prawa”, zwłoki wydawane były – bez podania personaliów – do zakładu anatomii i przeznaczano je do ćwiczeń dla studentów medycyny. Rozwiązanie takie praktykowano m.in. w Łodzi.

Przepisy pozwalały na odmówienie wydania zwłok rodzinie, ale często nie zwracała się ona nawet z taką prośbą, gdyż nie była zawiadamiana o terminie wykonania wyroku. W sytuacji, gdy władze więzienia zawiadamiały krewnych o egzekucji, miało to miejsce kilka tygodni lub nawet miesięcy po wykonaniu kary. Do

rodziny wysyłano zwięzłe pismo informujące o konieczności odebrania rzeczy pozostałych po zmarłym.

Orzekanie i wykonywanie wyroków śmierci stało się formą represji wobec ludzi, którzy nie chcieli pogodzić się z ustrojem komunistycznym. Ten najdrastyczniejszy sposób karania miał za zadanie skutecznie odstraszyć potencjalnych naśladowców. Nawet w przypadku złagodzenia kary, orzeczenie wyroku śmierci było dla skazanego traumatycznym przeżyciem. Pozostawiało również niezatarty ślad w psychice tych, którzy te wyroki wykonywali lub jedynie przy nich asystowali.

Wysiłki sędziów wojskowych, zainspirowanych poleceniami otrzymywanymi z urzędów bezpieczeństwa i od władz partyjnych, zmierzające do zastraszenia pozostających na wolności konspiratorów, przynosiły często wręcz odwrotne rezultaty. Zainspirowani godną postawą skazanych współtowarzyszy, utwierdzali się oni w przekonaniu, co do słuszności obranej drogi i sensu walki.

COFNIJ SIĘ